

Postowie



WIT SZOSTAK

Postowie

Trzeciego dnia od ogłoszenia, świtem bladym jak niemowlę, w tej porze, w której wszystko jest możliwe, wszystko jest projektem i zamierzeniem, i nic nie kosztuje w konkret i trwałość, w której z nadrzecznych mgieł wylaniają się dopiero kształty świata a chroniące dróg stare drzewa ledwie zaznaczają bezlistnymi rusztowaniami swoją obecność ponad nakrywającym pola mlecznym całunem, w tej porze zmarzniętej na kość otulony grubym kocem chłopiec wypatrywał z wietrznego tarasu miejskiej kampanili¹, czuwając nad sennym miastem, miastem śniącym o swej minionej i przyszłej potędze, odwróconym od szarej nieistotności historycznego momentu czasów terazniejszych, równie senny jak miasto, noszący w sobie całą jego starość, przekazaną przez rodziców i dziadków w niekończących się wieczornych opowieściach o dawnych wspaniałych czasach, ponad ocierającymi się o siebie płaszczynami ceglanych dachów, przypominających z oddali łuskę smoka, który przed wiekami przysiadł na wzgórzu i tak umarł, kamieniejąc w miasto, w którego trzewiach z czasem zamieszkałi osadnicy, żłobiąc tunele i kawerny, przeobrażając przestrzeń i ustanawiając prawa, ponad spowitymi mrokiem wilgotnymi wązami wąskich uliczek, przecinających się pod wszystkimi kątami świata, tworzącymi labirynt znany tylko mieszkańcom, mylący obcych, dający zagubionym chwilowe i złudne pocieszenie niewielkimi placami, które letnią porą przyzywają szemraniem fontann o wapiennych cembrowinach drążonych korzeniami mchu, mniszka lekarskiego, powoju i bezimiennych chwastów, senny, lecz skupiony chłopiec wypatrywał pierwszych oznak zmiany, by we właściwej chwili pociągnąć za pokryty rosą sznur kołyszącego się nad jego głową zielonego od patyny dzwonu, by spiżowe serce obwieściło miastu i światu ich nadejście.

Zazwyczaj potrzeba trzech dni, by uświadomić sobie koniec i przejść przez ciemność, a potem spakować całe swoje dotychczasowe życie aż do najdrobniejszego szczegółu, najmniej istotnego napomknienia i wyruszyć w nieznaną, w podróż do innego świata, wobec którego żywi się zupełnie nieuzasadnioną nadzieją, że będzie lepszy od starego, ale też równie silne oczekiwanie, że zastanie się wszystko znane i oswojone, bez konieczności konfrontowania się z obcością, bez przymusu nauki nowych reguł, bez całej tej niepewności podróży, która może kusi, ale zarazem sprawia, że trzymamy się na dystans, oraz towarzyszące nadziei i oczekiwaniu przeświadczenie, czasem głęboko ukryte w warstwach uspiionych myśli, że tej właśnie nadziei nie można w żaden sposób pogodzić z tym właśnie oczekiwaniem, że pragnienie, by spotkać inne i zarazem oswojone jest być może najczulszym odruchem człowieka wobec świata i ludzi, ale jest też iluzją potrzebującą, niczym gotycka katedra, setek przypór i rusztowań, skupienia tak wielu kłamstw i małych oszustw, by przetrwać i stać się fundamentem scalającym wspólnotę, że tylko w krótkich przebłyskach najdziwniejszych ludzkich doświadczeń można wierzyć, że ta iluzja jest możliwa i może się powieść, a cała reszta czasu wypełniona musi zostać pielęgnowaniem tej jednej myśli, której mimo całej jej kruchości nie można zbyć ani odpędzić, gdyż powraca i przewierca myślenie na wylot, więc tym bardziej trudno wierzyć, że te trzy dni na przejście pozwalają wyhodować nową duszę i nastroić ją, by zaśpiewała w chórze podobnie nowych dusz, które chcą tylko przetrwać, chcą przetrzymać najtrudniejszy okres odsunięcia i bezradności, okres pozbawienia wszelkich wpływów i upokorzenia przynieszonego nieuchronnie przez koniec.

Mgły opadały, a chłopiec trwał, śledząc narodziny świata, ten cud powtarzający się

¹*kampanila* (z wł.: *campanile*) — dzwonnica kościelna stanowiąca odrębną budowlę, obok bryły kościoła. [przypis edytorski]

Świt

Miasto, Sen

Świt, Wieś, Miasto

o każdym wschodzie słońca, kiedy z nicości nocy i bezradności mlecznych poranków wyłaniają się pocięte starożytnymi testamentami pola, zaorane nagie bruzdy lub kwitnące łany, kołyszące się kłosami pasy naszyte na powierzchnię ziemi niczym kieszenie i łaty wielkiego płaszcza, żyjącego własnym, utajonym życiem, sięgającym chłodnych podziemi, rodzącego i obumierającego, dającego życie i skuwającego lodem, nikogo niechroniącego i nikomu niedającego nadziei, kiedy z szarej ogólności przedświt wyłania się konkret starego mostu na Wiśle, który od wieków łączył miasto ze światem, pozwalając kupcom z odległych krajów przekroczyć leniwą, lecz groźną rzekę, z rzadka wzbierającą i zalewającą pola, ale też kołyszącą do wiecznego snu zbyt wielu przypadkowych i zdeklarowanych topielców, by móc lekceważyć jej wolny nurt, mostu pozwalającego podróżnym, wędrownikom i pielgrzymom stanąć u bram miasta i kołatać, jak kołatali od wieków, licząc na gościnne przyjęcie na krótki czas pobytu, a czasem, ostatnio coraz częściej, na schronienie przed złem napierającego świata i zakusami władzy, której złowieszcze pomruki unoszą się nad horyzontem, przychodzą znad jego linii miarowym i nigdy niecichnącym odgłosem odległej autostrady, która nigdy nie usypia i zawsze, nawet w najczarniejsze nocne godziny tętni silnikami tirów, mozolnie przewożących opakowane folią towary, których ludzie nie potrzebują i zarazem bez których nie potrafią żyć, autostrady, której podskórne burczenie nie pozwala mieszkańcom miasta zapomnieć, że dawne czasy bezpowrotnie odeszły, a miasto przestało stawiać światu warunki i narzucać swe prawa i istnieje tylko dzięki łasce obcych ludzi, a o jego wyjątkowości świadczy nie fakt, że wspierają je w jego skromnych aspiracjach wygrani, upojeni władzą oraz przywilejami i dlatego gotowi czasem, niezmiernie rzadko, na bezinteresowny gest dobrej woli, będący tylko odpryskiem interesownego życia i ciągłej walki o swoje kosztem innego, lecz właśnie pokonani i przegrani, którym miasto wydaje się bezpieczną przystanią skrytą za horyzontem, z dala od pomruków groźniejszych i głośniejszych niż autostrada, gdyż mających moc wypalania ziemi wokół, właśnie tych przegranych wypatrywało śpiące miasto, a chłopiec trwał, mimo zimna, ponad dachami i rzeką, na wzgórzu górującym nad równinami, zapatrzony w dal i dygoczący od wilgotnego zimna nieprzyjemnej jesieni.

Ostatni wyjechali poprzedniego dnia i chłopiec ze swej wznoszącej się ponad miastem wietrznej wieży obserwował ich *exodus*, przyglądając się w ostatnich promieniach zachodzącego jesienno słońca wstędze szosy, po której sunęły wypakowane ludźmi samochody osobowe oraz pełne mebli i dobytku ciężarówki, zwartym konwojem uchodzące z miasta ku mruczającej na horyzoncie autostradzie, ci ostatni wyjechali w pośpiechu, nie potrzebowali trzech dni, by narodzić się na nowo, nie potrzebowali przemiany i przejścia, byli bowiem na zmianę przygotowani, byli na nią nastroszeni i tej zmiany oczekiwali, więc nie czekali na trzeci dzień od ogłoszenia, tylko zaczęli się pakować już w wieczór ogłoszenia, potwierdzając uprzednio zamówione firmy przeprowadzkowe, owijając w gazety z kampanii filiżanki rodowych serwisów i talerze, odpowiednie do podejmowania gości zarówno w tej, jak i w nowej sytuacji, przy okazji znajdując dość czasu, by pozbyć się balastu rzeczy, przedmiotów kupionych w ostatnich latach, które wprawdzie znalazły w ich domach swoje miejsce i niejednokrotnie pełniły w ich życiu przydatną rolę, jednak swoim pochodzeniem przypominały przy każdym użyciu o porażce, o gorzkim smaku, który trzeba było splukać szampanem i kawiozem, być może zabijanie smaku porażki jest jedynym powodem, dla którego zwycięscy zjadają kawior w nieprzyzwoitych i nieprzyzwoitych do okoliczności ilościach, więc wyjeżdżający zabijali dawną porażkę wyrzucając przedmioty, może jeszcze kilka dni temu potrzebne, lecz teraz bezużyteczne, jak bezużyteczne są w polityce wyrzuty sumienia, po to by zastąpić je w nowym życiu takimi samymi przedmiotami codziennego użytku, ale kupionymi właśnie w nowym życiu, w atmosferze triumfu i poczucia mocy, przez co te same tostery, czajniki bezprzewodowe i ekspresy do kawy będą im przypominać o zwycięstwie dokładnie w ten sam sposób, jak wyrzucane właśnie przedmioty miały pozwolić zapomnieć o porażce, przecież dlatego je kupowali, dlatego z nich tkali na nowo swoje życie, starając się usilnie zostawić za horyzontem to, co wydarzyło się cztery lata wcześniej, więc wyrzucali, a znając życie i jego prawa mieszkańcy miasta na to wyrzucanie się przygotowali, wystawiając na placach wielkie kontenery na małe artykuły gospodarstwa domowego, które potem, o czym już nie mówili pakującym się zwycięzcom, sprzedadzą nadciągającym znad horyzontu przegranym, uruchamiając tym samym kolejny obrót koła wiecznego powrotu, które tylko nieuważnym

Rzeka

Miasto, Bezpieczeństwo,
Droga

Przemiana

sugeruje, że wydarzają się tylko rzeczy nowe i niespodziewane, a chłopiec obserwował to pośpieszne i radosne pakowanie się, to wietrzenie dobytku wywiewające wspomnienia nieaktualnej już porażki, obserwował to wzmożenie i, kiedy zmęczeni asystowaniem wyjeżdżającym mieszkańcy miasta, znużeni i podekscytowani okresem przejściowym, kładli się spać, chłopiec patrzył na uchodzące wozy, ostatnie w drugim dniu po ogłoszeniu, było bowiem niepisany obyczajem miasta, by te dwa konwoje, wyjeżdżających i nadjeżdżających, nie spotkały się na drodze, by nie doszło do problematycznego i niepożądanego minięcia się w drodze, choć zwyczaj ten nie potrzebował żadnych zewnętrznych sankcji, wystarczył tylko entuzjazm zwycięzców i ich gotowość do jak najrychlejszego wyjazdu, ich wytężana przez miesiące kampanii gotowość przyjęcia na barki nowego losu, odmiany życia, która krystalizowała się już w wieczór ogłoszenia, a więc dużo szybciej, niż zachodziła egzystencjalna przemiana w tych, którzy musieli przeboleć swoją porażkę, w innym mieście pakując w gazety swoją porcelanę, opróżniając swoje szafy i upychając w pudła swoje małe sprzęty gospodarstwa domowego.

Historycy Wolibrodu nazwali ten czas okresem rezydencji, usiłując retorycznie uwznioślić kolejny etap upadku miasta, przekuwając służebność, w której musieli okrzepnąć jego obywatele, w panowanie, co udawało się niestety tylko na papierze, lecz jednak napawało to historyków cieniem nadziei, że za kilka stuleci czytający stare kroniki nowi wolibrodzianie będą z sentymentem wdychać do dawnych i wzniosłych czasów, zazdroszcząc swoim przodkom doniosłej roli, jaką ci mieli, mocą historycznych narracji, odgrywać w dziejach Polski, zatroskani więc upadkiem historycy fabrykowali godną zazdrości opowieść o ich własnych czasach, z każdym zdaniem swych tekstualnych mistyfikacji odkrywając, że być może postępują dokładnie tak samo, jak ich przodkowie, przedwiewkowi kronikarze miasta, usiłujący ku pokrzepieniu nienarodzonych jeszcze serc przyszłych obywateli przedstawić swoje zwyczajne lub ponure czasy jako złoty wiek, dając nienarodzonym fałszywe z gruntu poczucie dumy za dzieło przodków, ale też, z tego samego powodu i tymi samymi środkami, dostarczając powodu do nieuleczalnej melancholii i nostalgii za utraconą świetnością, która nigdy świetnością nie była, gdyż życie, tak człowieka, jak i miasta, rzadko bywa świetne, a zazwyczaj zupełnie zwyczajne, ubarwiane tylko, przy dobrych wiatrach, fajerwerkami splendoru, które zresztą o wiele łatwiej dostrzega się wspominając niż przeżywając je w czasie rzeczywistym, być może dlatego, że w splendorze nie ma nic rzeczywistego a jedynie wyśnionego, kiedy więc historycy i dziennikarze, nazywani nie bez przesady historykami teraźniejszości, co w gruncie rzeczy pozwala lepiej zrozumieć pracę jednych i drugich, która nieustannie balansuje pomiędzy opisem a tworzeniem, odkrywaniem a wymyślaniem, kiedy więc historycy Wolibrodu chwalili okres rezydencji, chłopiec na wieży uświadomił sobie, że nie pamięta innej rzeczywistości, że o wszystkich innych chwalebnych epokach miasta wie z opowieści i książek, od dzieciństwa znając tylko cykliczne odjazdy i przyjazdy, od czasu, kiedy jego ojciec zabrał go w wieku kilku lat po raz pierwszy na wieżę, otulając w najcieplejszy w domu koc, by razem, ramię w ramię, patrzeć na odjazd tych, którzy opuszczali miasto i doczekać przez zimną listopadową noc, jakby ta wytrwałość miała jakiegokolwiek znaczenie i była do tego niezbędna, by koło dziejów się obróciło, a świat, pogrążony w ciemnościach drugiej nocy po ogłoszeniu, przetrwał ten mrok i zawieszenie wszelkich praw, a ojciec i syn ramię w ramię trwali niestrudzenie ponad miastem, wyczekując, aż w oddali pojawią się światła pierwszych wozów tych, którzy nadejdą, zapelniając puste pałace i kamienice, wypełniając gwarem i sporami opustoszałe na jeden dzień ulice miasta, gdyż rdzenni wolibrodzianie stanowili w swoim mieście mniejszość, zawsze było ich za mało, nawet w czasach najdawniejszych, gdy królowa Bona Sforza sprowadziła italskich rolników, kupców i rzemieślników na to nadwiślańskie wzgórze, by pracą swoich rąk przypominali jej o utraconym kraju nad dalekim południowym morzem, by wytwarzanymi przez siebie winami pozwalali jej na chwilę głębokiej jak morze radości w smutnych komnatach wawelskiego zamku, nawet w tamtych czasach mieszkańców miasta było za mało i nigdy nie byli zdolni wypełnić sobą wielkiej katedry, którą zbudowali z właściwą dawnym czasom rozrzutnością, a kiedy już Wolibród wraz z powstającymi na zboczach wzgórze, w miejscu dawnych winnic, gromami domków letniskowych liczył już tyle dusz, by swoją katedrę wypełnić, nie znalazło się nigdy tylu chętnych i wierzących, by tego dokonać, ani razu wszystkie ławki nie zostały zapelnione, ani razu ludzie nie tłoczyli się w Domu Bożym,

Historia, Książka, Literat,
Marzenie, Czas, Twórczość

Miasto, Świątynia

doświadczając zawsze tego ogromu i pustki zawieszanej pod sklepieniem, ciężkiej jak burzowe chmury nieobecności Boga, w którego potrafili wierzyć tylko kamieniem i pieśnią, a nigdy sercem, a ojciec i syn uciekali na wieżę przed pustką okresu przejściowego, przed wietrznymi ulicami, którymi nikt nie spacerował, przed zastawiającymi miejskie place kontenerami na mały sprzęt gospodarstwa domowego, przed piętrzącymi się przed każdą bramą kolorowymi workami pełnymi segregowanych starannie odpadów, ostatnim śladem po tych, którzy odjechali, bo zawsze ostatnim śladem po ludziach są śmieci, więc uciekali ojciec i syn na wieżę aż do dnia tajemniczego zniknięcia ojca, które jawi się jako mniej tajemnicze, kiedy powiemy, że dokonało się właśnie w kolejnym okresie przejściowym, jakby wykorzystano powszechne znikanie wyjeżdżających oraz nieuwagę obywateli, oczekujących na nadjeżdżających, ale o tym nie mówiło się w rodzinie chłopca, o tym się milczało przez wszystkie dni w roku i o tym wzdychało się tylko ciężko w tym jednym czasie, między drugim a trzecim dniem od ogłoszenia, więc od kilku lat milczący chłopiec sam wymykał się z domu w dzień odjazdu i trwał, sam nie wiedząc po co, na wieżę aż do czasu przyjazdu, marząc w imię niewypowiedzianej nigdy przez ojca zasady i podtrzymując świat, w co chciał wierzyć, swoim czuwaniem nad uspiętym i opuszczonym na kilkanaście godzin miastem, wypatrując wozów, choć być może także wypatrując pomiędzy nimi ojca, który, jeśli kiedykolwiek miał wrócić do Wolibrodu, to właśnie w okresie przejściowym, gdyż tylko to unieważniłoby jego zniknięcie, tylko to pozwoliłoby wymazać te kilka obrotów czteroletniego cyklu, ale o tym nigdy nie napiszą historycy okresu rezydencji i nigdy nie wspomną kronikarze dnia codziennego na łamach swych lokalnych, tak bardzo lokalnych gazet.

Zanim zbudzi się życie, panuje preraźliwa cisza przedświt i nawet odległa autostrada, której pomruk niesie się po zmarzniętych polach, nie zakłóca milczenia wiszącego nad miastem i chłopiec wsłuchuje się w nie, mając jeszcze w uszach zgiełk dnia wczorajszego, kiedy wąwozy uliczek wypełniały się rykiem silników ciężarówek firm przeprowadzkowych, kiedy z wielkich, otwartych na oścież okien w pałacach starych rodów dochodził monotony szum odkurzaczy, zwielokrotniony przez wykładane trawertynem i porfirem ściany, drżący w tysiącach kryształów wielkich żyrandoli, gdy ludzie nawoływali się poprzez cały ten hałas, tak niecodzienny i wyjątkowy w spokojnym zazwyczaj mieście Wolibród, przydarzający się tylko raz na cztery lata, w pierwszych dniach po ogłoszeniu, zatem zmarznięty na kampanili chłopiec wsłuchiwał się w ciszę i z wolna zaczynał łowić nowe odgłosy budzącego się życia, niczym niezwiastujące dnia wyjątkowego, który na lata zadecyduje o losach mieszkańców, jedne rodziny wynosząc wysoko i pozwalając im przedłużyć swe trwanie, a inne, które nie zostały wybrane przez nadchodzących przegranych, strącając na całą kadencję w bylejaką zwykłego bytowania, gdzie jedyną świetnością opromieniającą codzienny znój są wspomnienia, snute przy małych stołach mieszkań zastępczych, niewielkich domków wschodniej dzielnicy, tak dobrze znanej chłopcu, gdyż tam się właśnie urodził i wychował, i stamtąd ojciec zabierał go w okresie przejściowym na sam szczyt miejskiej kampanili, która swym ceglano-wapiennym kadłubem strzelała wysoko ponad dachy miasta, wyżej nawet niż masyw nieodległej katedry, a która, bliska niebu, miała już udział w innej rzeczywistości, dając schronienie ptakom, które nigdy nie zniżały lotu do poziomu ulic, i porostom, które chłopiec, zanim ojciec po raz pierwszy zabrał go na wieżę, zobaczył podczas szkolnej wycieczki w Tatry, ale teraz rozgrzewając się herbatą z termosu, którą przygotowała mu poprzedniego dnia matka, dodając hojnie sok z wiśni zbieranych minionego lata w sadzie, którego nagie drzewa chłopiec widział na zboczu poniżej miasta, odległe i kruche gałązki ścięte pierwszym listopadowym przymrozkiem, teraz chłopiec nasłuchiwał, jak z dołu ku jego orlemu gniazdu unoszą się pierwsze oznaki życia miasta Wolibród, nucenie przy goleniu, monotony głos radiowych spikerów, plastelinowe zapowiedzi telewizji śniadaniowych podekscytowanych dogasającą luną kampanii, chrobot śmieciarek pożerających nieprzeznaczone do recyklingu odpady i nawoływania roznosicieli gazet, których od lat nikt nie kupował, choć miasto, dbając o swe zmurszałe tradycje, utrzymywało na municypalnych posadach kilka osób, by co rano napelniały ulice wyśpiewywanymi po polsku, lecz z włoską intonacją nowinami z kraju i ze świata, choć przecież każdy, któremu na tych nowinach zależało, mógł dużo wcześniej dotrzeć do nich przez Internet, pisany zawsze wielką literą jak *Wszechświat*, a chłopiec, rozgrzany herbatą z sokiem wiśniowym, łowił wszystkie te dźwięki, które po-

nad dachami spletały się w codzienną symfonię miasta, na razie poprzedzoną przez uwer-
turę utworu, luźny zbiór motywów udający niezgrabne strojenie instrumentów wielkiej
orkiestry, a chłopiec łowił dźwięki coraz cichsze i dyskretniejsze, jak westchnienia poran-
nych kochanków, miauczenie kotów przy pustych miseczkach, nieudane próby zapalania
silników wszechobecnych skuterów, śpiew ptaków poukrywanych w więźbie dachowej
i zamieszkujących stadami strychy miejskich budowli publicznych, od dekad opuszczone
przez ludzi, brzęczenie maszynki do golenia i wszystkie te odgłosy, których nie da się
dosłyszeć z wysokości wystawionej na wszystkie wiatry świata wieży, ale które można
sobie dopowiedzieć, jeśli dobrze zna się miasto i wyczuwa się jego miarowe pulsowanie.

Na początku okresu rezydencji stare rody przeniosły do piwnic swoje najcenniejsze
zbiory, drogocenne gobeliny, płótna starych włoskich mistrzów, marmurowe rzeźby sto-
jące od wieków w westybulach, złożone kandelabry, lambrekiny ze złotogłowiu i wszystko
to ulokowały w ustawionych równo skrzyniach, starannie skatalogowane, zapieczętowa-
ne i czekające na nową epokę, kiedy komnaty renesansowych i barokowych pałaców
na powrót powrócą w ręce swych prawowitych właścicieli, zostaną odnowione, znisz-
czone freski odrestaurowane, a pokruszone stiuki zrekonstruowane, na razie jednak, od
ponad ćwierćwiecza, wszystkie te korytarze i położone w amfiladach pokoje są przestrze-
nią obcą, z każdą kadencją obcą coraz bardziej, zaludnioną życiem ludzi przypadkowych
i niekoniecznych, których jedynym walorem i racją istnienia jest porażka, która nie do-
tykałaby najstarszych wolibrodzkich rodzin gdyby nie przypominała im o ich własnej
porażce, o konieczności bycia służącymi we własnych domach, służącymi osób o wą-
pliwej reputacji i podejrzanym pochodzeniu, których z kolei porażka poprzedzona była
przez krótkotrwałą chwałę poprzedniej kadencji i które, zmuszone przez wolę ludu do
opuszczenia stolicy, wybrały Wolibród na miejsce swego tymczasowego zesłania i od-
stawienia, co po raz pierwszy dokonało się u zarania Trzeciej Republiki, gdy rozwiązano
sejm nazywany kontraktowym i gdy ministrowie i senatorowie tracący swe mandaty po-
stanowili usunąć się z polityki i w ciszy renesansowego miasta na wzgórzu, tchnącego
spokojem i odsuniętego od najbliższej drogi szybkiego ruchu dwudziestokilometrowym
pasek pól, przeżywać swoją wyborczą klęskę i snuć plany na przyszłość, zawsze świetlane
i poplamione zemstą na politycznych wrogach, których, co niektórzy z rezydentów oce-
niali bardzo wysoko, przez najbliższe cztery lata nie trzeba będzie oglądać w sejmowych
korytarzach i ministerialnych gabinetach, więc zaczęło się od kilku ministrów i sena-
torów, potem pojawili się liczni byli posłowie, tych było zawsze najwięcej i najbardziej
niszczyli siedziby starych rodzin, więc pojawili się, anonsowani wcześniej telefonami,
a wolibrodzianie, przewyciężając uprzednią niechęć do zmiany zobaczyli w tym szansę
dla swego podupadającego miasta, które z dekady na dekadę traciło swoją pozycję, stając
się cieniem samego siebie, niszcząc i sprawiając swoim mieszkańcom coraz więcej kłó-
potu, gdyż w dobie rodzącego się kapitalizmu, który szybko z fazy embrionalnej wyrodził
się w monstrualnego Kronosa pożerającego własne i cudze dzieci, nie było innego spo-
sobu na utrzymanie tych popadających w ruinę *palazzi*, w których kilometrowe, zimne
korytarze ciągnęły się w nieskończoność, w głąb wapiennej góry, zamieszkałej przed ty-
sięćleciaми przez starą rasę ludzkich przodków, która zdążyła przed swym nieuchronnym
wymarciem ozdobić swoje przepastne jaskinie malunkami byków, niedźwiedzi i jeleni,
o czym nigdy nie mieli się dowiedzieć krajowi konserwatorzy zabytków, gdyż sekret na-
skalnych rysunków najstarsze rody miasta trzymały ukryty głęboko we wnętrzu góry,
a zatem jedynym sposobem, by pałace przetrwały, było wynajęcie ich komuś, kto będzie
w stanie za wynajem zapłacić, choćby z partyjnej kiesy i państwowej dotacji na dzia-
łalność partii politycznych, i z czasem po każdym wyborach miasto zaczęło zaludniać
się rzeszą przegranych i wydziedziczonych ze stołków i stanowisk, rad nadzorczych i se-
kretnych wpływowych funkcji, ludźmi bez wpływów, lecz z nadziejami na odmianę koła
fortuny, co na zawsze miało zmienić oblicze miasta, dotąd spokojnego, a teraz rozpoli-
tykowanego, gdyż mało kto jest tak zaabsorbowany i owładnięty walką o władzę jak ci,
którzy władzę utracili, tak więc ścigali tu z rodzinami, powstawały przedszkola i szkoły,
restauracje dla posłów i kluby dla senatorów, stronnictwa i gabinety cieni, tajemne sto-
warzyszenia zraszające tych, którzy na dobre wypadli z karuzeli władzy i jedyne co im
pozostało, to wspomnianie tych epizodów mocy, które na zawsze naznaczyły ich życia,
gdz najtrudniej odnaleźć się w świecie z piętnem bylego polityka, zwłaszcza że profe-

Polityka, Przemiana, Sługa,
Władza, Miasto, Upadek,
Interes

Polityka, Władza, Los,
Przemiana, Upadek, Pan,
Sługa, Pozycja społeczna

sja polityka, najbardziej nieprofesjonalna ze wszystkich zajęć świata, najczęściej wiąże się z szerokim brakiem kompetencji w każdej dziedzinie, nie wyłączając z tego dziedzin, które w upojnych latach sprawowania władzy były specjalnością przegranego męża stanu, jak o sobie lubi mówić, i z każdymi wyborami było ich coraz więcej, aż wreszcie prawowici mieszkańcy miasta, często o spolszczonych włoskich nazwiskach pamiętających jeszcze czasy Jagiellonów i złoty wiek włoskich republik, skąd pochodzili noszący je ludzie, stali się mniejszością obsługującą ten dziwny ruch długoterminowej turystyki, mniejszością sprzątającą wielkie powierzchnie swych byłych siedlisk, gotującą, pracującą w restauracjach, zakładach fryzjerskich, kawiarniach, na placach targowych, mniejszością dbającą o wygody nowej rasy panów, pogardzającą panami i uważającą się za rasę wyższą i niesłusznie niepanującą, choć, jak powtarzali najstarsi z rodów, za komuny było jeszcze gorzej, gdyż pałace niszczały jako symbol dawnego reżimu, a miasto, przez wieki cieszące się względną niezależnością, doświadczyło wielu niemiłych gestów, tak to zapisali historycy tamtej epoki, właśnie niemiłych gestów ze strony ówczesnych władz, włącznie z zamknięciem wspaniałego renesansowego uniwersytetu na fali zawirowań roku 1968, zawirowania to też zgrabna peryfrazja historyków, tych mistrzów retoryki, więc mieszkańcy Wolibrodu zacisnęli zęby i wcielili się w gospodarzy dyskretnie skrytych na drugim planie, przeprowadzając się ze swych siedzib do położonej na wschodnim krańcu miasta, podupadłej jeszcze przed wojną, dzielnicy rzemieślników, którzy przegrali walkę ze smokiem przemysłu i w ciągu kilku dekad opuścili miasto w poszukiwaniu lepszego życia, gdyż nie było tylu butów, które można byłoby naprawiać, zapewniając sobie godziwe życie, ani wystarczającej ilości wina, by ręczny wyrób beczek miał dalej sens, więc opuścili swe domy, sprzedając je za bezcen starym rodem, ciesząc się z niewielkich sum, które w innych częściach Polski pozwalały na rozpoczęcie nowego życia, a stare rody skupowały te podupadające i ciasne domki bez kanalizacji z litości raczej dla uchodzących współobywateli niż z rzeczywistej potrzeby lokowania kapitału w nieruchomościach o wątpliwej wartości, lecz po latach okazało się, że ten gest miłosierdzia, jak nazywali transfer domów wschodniej dzielnicy historycy tamtej epoki, okazał się gestem miłosierdzia wobec przyszłych pokoleń, gdyż właśnie w tej wyśmiewanej przez wieki części miasta, części, w której urodził się i wychował chłopiec, musiały zamieszkać stare rody, by ich własne siedziby mogły przyjąć wychodźców, jak ich nazywano, którzy po każdym wyborach, trzeciego dnia po ogłoszeniu wyników przez Państwową Komisję Wyborczą, ścigali do Wolibrodu, siedząc okrakiem na swych meblach z Ikei i zbiorach płyt winylowych, wioząc w walizkach za duże garnitury i niedopasowane krawaty, ściskając jak relikwię kupione na bazarze wieńce jelenich rogów, których powaga miała spod sufitów mieszkań w warszawskich apartamentowcach z podziemnymi garażami opromieniać ich ludowe pochodzenie, sugerując, bez niepotrzebnych kłamstw, gdyż milczenie nigdy nie jest kłamstwem, zwłaszcza dla polityka, który nawet łżąc, tylko mija się z prawdą, sugerując szlacheckie pochodzenie, w które przegrani gorączkowo wierzyli, bo w coś musieli wierzyć w tym okresie po końcu ich świata, kiedy niektórzy z nich na zawsze tracili dostęp do żłobu, choć wiedzieli o tym tylko nieliczni i najprzenikliwsi z nich, podczas gdy cała reszta przez długie cztery lata głębokiej opozycji pozaparlamentarnej i wychodźstwa pielęgnowała opowieści o powrocie na szczyt.

Trzeciego dnia po ogłoszeniu wyników wyborów, w chłodne listopadowe przedpołudnie, senny, lecz skupiony od wielu godzin chłopiec, którego, skrytego w cieniu dzwonu miejskiej kampanili, nawet najbystrzejszy wzrok nie mógłby dostrzec wśród chmur, zobaczył na horyzoncie nad drogą obłok, który w suchej porze letniej mógłby zostać wzięty za pył z szosy i okolicznych pól, ale w jesieni mógł być tylko mgiełką poderwanej z nawierzchni przez koła samochodów wilgoci, nieomylnie zwiastującej nadciąganie konwoju ciężkich aut, które chłopiec zobaczył dopiero w kilka chwil później, dobrze słysząc pracę ich silników, nakładające się na siebie odgłosy wielu motorów, narastające z każdą sekundą zbliżanie się ciężarówek wypakowanych meblami i samochodów osobowych, już prywatnych po zdaniu służbowych limuzyn, wypakowanych licznymi rodzinami posłów, senatorów, ministrów, wiceministrów i dyrektorów departamentów w randze wiceministra, a wszystkich byłych, złożonych ze swych mandatów i urzędów, wygnanych przez wyborców na luksusowe czteroletnie wczasy do nadwiślańskiego miasta cieni, a kiedy konwój zbliżył się na kilka kilometrów do miasta, chłopiec pociągnął za sznur dzwonu,

który krystalicznie czystym dźwiękiem obwieścił miastu i światu tę samą, co cztery lata temu i osiem, i dwanaście, nowinę, a przechodnie przystawali i zadzierali głowy, restauratorzy otwierali swoje lokale, bariści mielili kawę, barberzy układali na blatach brzytwy, gdyż wszyscy już wiedzieli, że nadciągają wychodźcy.

POSŁOWIE

Tu manuskrypt się urywa.

Autor zostawił te 8 zdań i ani słowa więcej. Możemy tylko sobie wyobrazić, jak wyglądałaby powieść, którą otwiera powyższa sekwencja. Ile bym dał, by poznać resztę, by zanurzyć się w świat Wolibrodu i podążać za meandryczną składnią, zdaniami, które przybliżają i oddalają opowiadaną historię, krążąc wokół punktów węzłowych i nie pozwalając na ani jeden moment wytchnienia. Ale w tej chwili zdaję sobie sprawę, że popełniam błąd. Czytając początek, zakładam koniec. Istnienie początku daje przeczenie końca, przeświadczenie, że istnieje ciąg dalszy. To czytelniczy nawyk, ugruntowany przez lata: wiemy doskonale, że następna strona i kolejne pokryte są farbą drukarską, kolejne litery składają się w słowa, słowa w zdania, zdania w akapity, te zaś w rozdziały. Początek powieści jest jak wystająca spod szafy kartka: widoczny trójkąt zapowiada cały prostokąt. Czytelnik odkrywa, a odkryć można tylko to, co jest. Coś musi istnieć w ukryciu, by odkrywanie miało sens. Tu nie ma całości, jest tylko fragment. Nawet słowo fragment kłamie, gdyż fragment pochodzi z całości. Tymczasem to, co jest tu dane, te 8 zdań, to wszystko. Autor nie odpowie na żadne dodatkowe pytanie. Nie ma go tutaj i nie ma nigdzie indziej. A my możemy się tylko domyślać motywów, które doprowadziły go do takiego końca.

Czy jednak *Posłowie* powstawali jako początek większej całości, nawet nienapisanej, nieprzemyślanej, ale jednak założonej jako niekonkretny ciąg dalszy? Wtedy można byłoby szukać notatek, szkiców, wspomnień przechowywanych przez znajomych Autora, którym zdradzał, czasem mimochodem, swoje pomysły. Można by, co już bardziej ryzykowne, spróbować wyprowadzić z istniejących zdań ciąg dalszy, pomyśleć możliwe warianty, losy bohaterów. Wtedy tkanie dalszej opowieści byłoby jednocześnie podglądaniem dotychczasowych nawyków narracyjnych Autora. Każdy pisarz ma swoje ulubione motywy i obsesje, tematy, wokół których krąży i rozwiązania fabularne, które, często nieświadomie, wykorzystuje częściej niż inne. Wtedy przed Redaktorem, który musiałby przed Czytelnikami w *Posłowie* do publikowanego dzieła skrupulatnie wytłumaczyć przyjętą metodę, stałoby zadanie, które można byłoby nazwać twórczością. Ale ta twórczość byłaby mozolnym chodzeniem po śladach i odkrywaniem śladów. Redaktor tkalby swoją opowieść z cudzych nici, z tropów pozostawionych przez Autora w powieściach, opowiadaniach, esejach i wywiadach. Paradoksalnie więc, ta twórcza praca, jaką byłoby rozwijanie ośmiu powyższych zdań w powieść, byłaby odkrywaniem. Odkrywaniem przewrotnym i pełnym napięć, gdyż to, co odkrywane nigdy nie istniało. Ale zarazem słowo „odkrywanie” pasuje tu lepiej niż tworzenie, choć niewątpliwie w odkrywaniu tym byłoby dużo dowolności, którą czasami nazywamy twórczością (czyż nie dlatego bardziej cenimy autora oryginału od kopisty?).

Autor, gdyby tylko chciał dokończyć dzieło, miałby w tym procesie dużą dowolność. Redaktor, najpierw szukający śladów, a potem nimi podążający, sens swej pracy musiałby zobaczyć w ograniczeniu dowolności, w jej eliminacji. Jeśli ciąg dalszy miałby być w jakikolwiek sposób przypisany Autorowi, nawet z licznymi zastrzeżeniami, to dowolność musiałaby stać się największym wrogiem Redaktora. A kiedy zostałby do niej zmuszony brakiem śladów lub ich nieczytelnością, byłaby to każdorazowo jego porażka. Aporetyczna² sytuacja Redaktora *Posłów* polegałaby zatem na przymusie dowolności: dowolność byłaby ostatecznością, przykrą koniecznością w sytuacji, gdy inne, pozbawione dowolności, rozwiązania, okazałyby się niewystarczające. Czy zatem taka przymusowa dowolność mogłaby się nadal nazywać dowolnością? Czy konieczność nie unicestwia tej, i tak sporadycznej, dowolności? To jedno pytanie.

²aporetyczny — nie dający się rozwikłać, rozstrzygnąć, bezwyjściowy; od: *aporia* (z gr. *ἀπορία*): dosł. bezdroże, wahanie, bezradność, przen. figura retoryczna mająca przykuć uwagę odbiorcy, zaangażować go poprzez zwrócenie uwagi na kwestię budzącą sprzeczne odczucia czy sądy, filoz.: punkt w przebiegu rozumowania stawiający opór, nie pozwalający na jednoznaczne rozstrzygnięcie rozważanego problemu. [przypis edytorski]

Inne każe się zastanowić nad zasadnością metody chodzenia po śladach. Sprowadza ona bowiem napisanie ciągu dalszego *Postów* do odkrywania czegoś, co zostało w twórczości Autora i w jego wypowiedziach o tej twórczości już wcześniej zakodowane. A to wymaga założenia, że każdy kolejny tekst Autora jest tylko powtórzeniem tego, co już przez niego powiedziane. W pewnym sensie takie postawienie sprawy czyni każdą kolejną wypowiedź Autora zbędną i nadmiarową. Być może można by bronić takich iteracji³ kryteriami drugorzędnymi: zawsze można powiedzieć coś ładniej, zgrabniej lub choćby zwięźlej, a zatem powtarzanie może mieć jakiś sens. Ale sprowadzenie twórczości do powtórzeń trudno uzasadnić. Od którego bowiem momentu autor zaczyna się powtarzać? Od debiutanckiego tekstu? Od pierwszej powieści? Gdzie postawić granicę? Odkąd możliwa jest praca Redaktora, tu definiowanego jako różny od Autora podmiot dopisujący ciąg dalszy? Odkąd można Autora ostatecznie wyeliminować, zakładając, że w swej twórczości zostawił wystarczająco dużo śladów własnego pisarskiego DNA, by móc za ich pomocą zrekonstruować cały genom nowego dzieła? A jeśli dzieło Autora miało być przełomem? Jeśli dziewiąte jego zdanie miało nie wypływać z poprzednich, być nowym otwarciem, a jeśli tak miało być ze zdaniem dziesiątym, jedenastym itd.? 8 zdań przywodzi na myśl 8 kartek arkusza drukarskiego (i powiązany z tym zabieg Calvina⁴). Może nowy arkusz otworzyłby zupełnie nowy świat? A może w tych 8 zdaniach wyraźnie jest zapisane, że kolejne będą wyglądać inaczej? Co wtedy miałby zrobić Redaktor? Jak miałby się zachować?

W o ile lepszej sytuacji byłby Redaktor, gdyby miał jeszcze kilka innych fragmentów. Albo gdyby wiedział, że istniejące 8 zdań to nie następujące po sobie zdania otwierające, lecz niepowiązane molekuly tekstu, które w zamyśle Autora miało dzielić morze liter. Co bowiem wskazuje, że zachowane w manuskrypcie zdania następują po sobie i stykają się ze sobą tak szczelnie, jak to tylko umożliwia sąsiedztwo akapitów? Być może metodą Autora, być może metodą stworzoną tylko na potrzeby tego dzieła i nigdy wcześniej przezeń niepraktykowaną, miało być pęcznienie i narastanie tekstu, rozdzielanie istniejących zdań innymi zdaniami, a nawet, co przecież łatwo sobie wyobrazić, rozszczelnianie istniejącego tekstu nawet wewnątrz zamkniętych struktur; ostatecznie powyższe 8 zdań to zdania wielokrotnie złożone, dlaczego zatem nie założyć, że można je zwielokrotnić i złożyć na nowo?

Początek zakłada koniec, w pierwszym zdaniu opowieści kryje się obietnica zdania ostatniego. Czym jednak jest ostatnie zdanie poza tym, że fizycznie kończy tekst na ostatniej stronie (nie licząc spisów treści, indeksów, stron redakcyjnych)? Logika związku między pierwszym i ostatnim zdaniem, układająca te dwie formuły w implikację, poprzednik i następnik, zakłada linearną strukturę tekstu. Ostatecznie tekst pomieszczony pomiędzy dwiema okładkami ma pierwszy znak i ostatni, choć tu o byciu pierwszym i ostatnim rozstrzyga topografia, a nie względy literaturoznawcze. Co jednak, jeśli zamysł Autora, nigdzie wprawdzie nieujawniony, rozsada tę przestrzenną linearność powieści i przekształca formę literacką w rozgałęziające się drzewo, bez końca mnożące na konarach coraz mniejsze rozwidlenia gałązek, w których historia rozszczepia się na coraz drobniejsze warianty, z których żaden nie jest uprzywilejowany? Jeśli mozolne dopisywanie przez Redaktora ciągu dalszego to nie *quasi*-rekonstrukcja nieistniejącej realnie całości — gdyż takie założenie całości musi zakładać jakąś zamkniętą formę — tylko rozmnażanie tekstu w nieskończoność, ciągłe otwieranie zamiast zamykania, którym jest proces zbliżania się do ostatniego zdania? Może *Postowie* nie mogą mieć ostatniego zdania nie dlatego, że nie powstało lub że — z jakichś powodów — nie możemy uznać za takowe zdania ósmego, lecz dlatego, że ich losem — co prawda niespełnionym — jest rozgałęziać się w nieskończoność. A w takim razie zdanie ósme jest równie dobrym ostatnim zdaniem, co zdanie osiemnaste, osiemdziesiąte lub osiemsetne.

³iteracja (z łac. *iteratio*) — powtarzanie; czynność powtarzania tej samej operacji (procedury, sekwencji działań) w pętli; zwykle, np. w matematyce czy programowaniu, powtarzanie takie dokonywane jest zaprogramowaną z góry liczbę razy lub ma zdefiniowany kres przy spełnieniu jakiegoś warunku. [przypis edytorski]

⁴Calvino, Italo (1923–1985) — pisarz i eseista włoski, autor prozy eksperymentalnej, łączącej różne gatunki i opierającej się na grze z czytelnikiem, m.in. opowiadania *Długi dzień Amerygi*, powieści *Zamek krzyżujących się losów* i *Niewidzialne miasta* oraz książki pt. *Jeśli zimą nocą podróżny* składającej się z samych początków powieści różnych gatunków (sformułowanie „zabieg Calvina” prawdopodobnie odnosi się do tego właśnie dzieła włoskiego pisarza). [przypis edytorski]

A co jeśli te 8 zdań to nie początek, lecz środek? Że to wyrwane z trzewi powieści mięso, jakiś luźny arkusz wydawniczy, a Czytelnik nigdy się nie dowie, ile zdań dzieli go od początku i ile pozostało do końca? A jeśli to nie środek, lecz koniec? Jeśli zdanie ósme jest ostatnim zdaniem wielostronicowej, choć nieznannej, bo nieistniejącej, powieści, a zdanie siódme jest jej zdaniem przedostatnim itd.? *Posłowie* wyglądają raczej na ekspozycję niż na kodę, ale pomyśl, że kończą splątana powieść nie jest dużo bardziej ekscentryczny od tego, że są jej otwarciem. Ostatecznie Czytelnik ma w obydwu domysłach to samo poczucie: nie wie. Ta niewiedza raz dotyczy tego, co było dalej, a innym razem tego, co było wcześniej, lecz nadal jest tym samym doświadczeniem. Przecież historia opowiadana w *Posłach* może być opowiadana od tyłu, achronologicznie i być może dociera do swego chronologicznego początku (co to w ogóle znaczy, poza pustym pojęciem teoretycznym?) na samym końcu? Może przyjazd wychodźców kończy, a nie rozpoczyna opowieść?

To wszystko, co zostało powiedziane powyżej zakłada jednak, w jakiś sposób, że *Posłowie* są tekstem niedokończonym, częścią większej całości lub częścią całości niemożliwej do spełnienia, lecz w każdym razie są fragmentem. Co jednak, jeśli dopuścimy na moment myśl, że wszystkie te domysły są błędne? Być może *Posłowie* od początku stanowili całość, iluzoryczną zapowiedź czegoś, co wprawdzie wydaje się wpisane w istniejące zdania, co zaprasza do dalszej drogi, ale nie tylko nie zaistniało, bo jakiś przypadek przeszkodził w jego powstaniu, ale też nigdy nie miało powstać. Część jest całością i nie ma ani jednego zdania poza nią, co więcej, ani jednego zdania być nie może. A skoro tak, to nie ma części, gdyż ta zakłada różną od siebie całość, nie ma fragmentu, gdyż ten zakłada strukturę, w której gra swoją fragmentaryczną rolę, jest tylko całość: 8 zdań *Posłów*. Co to oznacza dla Redaktora, co to oznacza dla Czytelnika? Czy ucina wszelkie spekulacje, skazuje na banicję wszystkie domysły dotyczące dalszego losu naszkicowanego świata i zamieszkujących go ludzi? Nie można wykluczyć, że Autor miał w głowie wytyczone poza tekst trajektorie zdarzeń, linie rozwoju wątków lub przynajmniej formalną zasadę (lub zasady) rozwoju zdań, rodzących za pomocą tych samych, lecz podawanych w różnej konstelacji słów nowe sensy. Niewykluczone, że w czeluściach twardego dysku Autora można byłoby odnaleźć plan powieści, zarys całości większej niż to, co pozostawione Czytelnikowi. Ale czy ma to jakiegokolwiek znaczenie? Wydaje się, że tak. *Posłowie* mają swoje ostatnie zdanie, jest nim zdanie ósme. Czy jest to jednak zdanie ostatnie z przypadku, z zrzędzenia losu, które sprawiło, że Autor, choć chciał lub nawet na jakimś etapie pragnął, nie postawił już zdania następnego? Wówczas uzyskalibyśmy, niejako przy okazji, roboczą definicję zdania ostatniego: zdanie, po którym nie następuje żadne inne, która to definicja nie mówi nic o istocie tego zdania, a jedynie zdaje sprawę z typograficznej granicy, jaką jest biel niezadrukowanej strony rozciągająca się pod wydrukowanym tekstem. Czy jednak nie mamy do czynienia z czymś innym: to zdanie ostatnie, gdyż w zamyśle Autora nie miało być żadnych następnych (jeśli za zdania następne uznamy te napisane ręką Autora, a nie te, które mogą powstawać po lekturze w głowach Czytelników)? Dochodzimy tu do ciekawego paradoksu. Paradoksalnie bowiem nieukończona przez Autora, a więc niedoskonała forma tekstu obiecuje nieistniejący ciąg dalszy, który skryształizuje się w coś, co może być — przynajmniej w czytelniczym marzeniu — doskonałe. A założenie, że te 8 zdań to ukończona i przemyślana całość, a więc, poprzez swoje domknięcie, doskonała jako skończona forma, każe rozważać niedoskonałość tak przemyślanego dzieła, które, przyjmując wolny rytm powieściowy, wyczerpuje się w niewyczerpanej ekspozycji. Niedoskonałość dzieła nieukończonego zderza się z niedoskonałością dzieła ukończonego. Mankamenty *Posłów* jako całości z perspektywy jakiegokolwiek teorii powieści są ewidentne. I nie rozwiązuje tu żadnego problemu polubowne uznanie *Posłów* za opowiadanie. Być może jednak Autorowi udało się obejść tę zasadzkę paradoksu: zostawiając całość i sugerując jej częściowość dał Czytelnikowi (i sobie) szansę na nadzieję, że każde kolejne zdanie — którego nie ma i nie będzie — zbliży utwór do doskonałości. Jednocześnie Autor, nie pisząc kolejnych zdań i nawet nie sugerując, jak miałyby wyglądać zdanie dziesiąte, setne czy tysięczne, nie może swojego tekstu zepsuć, uczynić gorszym, pograżyć. Kropka po ósmym zdaniu jest obietnicą, która wprawdzie nigdy nie zostanie spełniona, ale też nigdy nie zostanie złamana. Swoją drogą, ileż czytelniczych rozczarowań kryją w sobie wielkie ukończone powieści? Ile ziewnięć, do których nie chcemy się przyznać, i znużenia, które odpędzamy

Książka, Twórczość,
Nadzieja, Rozczarowanie

podczas lektury tylko dlatego, że uwiodły nas pierwsze zdania — lub nawet nie one, lecz pozatekstowa aura, w jakiej dowiedzieliśmy się o istnieniu danej książki — obiecując zbyt wiele? Odpowiedzi na te pytania pozostaną na zawsze intymną i wstydliwą tajemnicą Czytelników, ciągle marzących o Księdze, powieści doskonałej.

Czytelnik niczego nie może być pewien. Żadnej z zarysowanych powyżej możliwości nie można ot tak odrzucić, a to sprawia, że status tekstu, tych 8 pozostawionych przez Autora zdań, jest wysoce problematyczny. Nawet utarte zwroty zwodzą i oszukują. Czyż bowiem powiedzielibyśmy o ukończonej i podpisanej do druku po licznych adjustacjach i korektach powieści, że Autor ją pozostawił? Pozostawienie sugeruje porzucenie, niedokończenie, jakąś ucieczkę, która sprawia, że możemy myśleć o tekście jak o czymś potrzebującym pomocy, wsparcia, wyrażonego pracą Redaktora. Ale przecież ostatnia z podanych tu możliwości musi przekreślić uzurpację słowa „pozostawić”, gdyż być może mamy tu do czynienia z dziełem kompletnym, w którym, według zamysłu Autora, nie brakuje ani jednego zdania. „Pozostawienie” zatem należałoby zastąpić po prostu „napianiem” lub „przedłożeniem” Czytelnikowi w takim, a nie innym kształcie. Ostatnia z omawianych możliwości nie musi być zresztą prawdziwa. Nie ma na to żadnych dowodów ani w samym tekście, ani w tym, co się wokół niego dzieje za sprawą Autora, gdyż, powiedzmy sobie szczerze, nie dzieje się nic. Autor milczy o swym zamysle, świadomie lub nie, nie pomaga Czytelnikowi, tak jak wcześniej nie pomagał Redaktorowi. To milczenie tworzy z początku słabe, lecz z czasem coraz mocniejsze napięcie pomiędzy częścią a całością. 8 zdań może być częścią nieistniejącej całości lub samą całością i nic, poza czytelnicznym nawykiem, że zdania te stanowią raczej ekspozycję powieści niż powieść całą (co przecież od kilku dekad nie może być miarodajnym drogowskazem dla nikogo), nie pozwala tego napięcia rozwiązać. Część i całość lub też, precyzyjniej: możliwość części i możliwość całości stawiają Czytelnika na rozdrożu. Jeśli bowiem po ostatnim słowie tekstu nie miało być nic, to po co jest wszystko to, co je poprzedza? Czyż te 8 zdań nie zachęca do snucia domysłów? Czyż nie obiecuje czegoś więcej, szkicując scenerię, bohaterów i główne wątki opowieści, której zakończenie (w obecnym kształcie) dalekie jest od fabularnych nawyków Czytelnika? Czy ta obietnica, iluzja ekspozycji — jeśli oczywiście założymy na moment, że to skończona całość — nie kwestionuje sensu całości (a po części też sensu części)? Byłoby tak z całą pewnością, gdyby inne utwory prozatorskie, czytane nie jako pozostawione, lecz jako ukończone i przedłożone przez Autora lub innych Autorów, porzucały Czytelnika w chwili, gdy dobrnie do ostatniego zdania. Ale przecież tak nie jest. Opowieść pracuje w nas długo po zamknięciu okładek i nawet skończona oraz fabularnie pozamykana konstrukcja nie rozwiewa się wraz z ukończeniem lektury. Tekst, nawet najprostszy, wżera się w życie i zadamawia się tam na dłużej, czasem opanowując życie Czytelnika dozgonną obsesją, czasem zajmując mu kilka godzin lub dni, kiedy ten nie może się otrząsnąć po stracie, jaką jest zamknięta książka. Zatem nawet to kryterium, kryterium nienasyceńca i doznania niepełności, nie może być rozstrzygające. Nie można odrzucić hipotezy o całości, a zatem pozostaje napięcie między częścią a całością, ciągle migotanie sensu, oddalanie się i zbliżanie przecucia, które próbuje zapanować nad tekstem, ogarnąć go w jednym mocnym uścisku. I to napięcie, które prześwietliło — jak światło prześwietla nieostrożnie wyciągniętą z ciemności niewywołaną błonę fotograficzną — najszczerze intencje Redaktora, gotowego snuć domysły i dopisywać ciągi dalsze lub przynajmniej nad nimi spekulować. Ale też prześwietlone zostało poczucie całości i mamy, obok 8 zdań Autora, dwa nieważne już przecucia i nigdy ich nie wywołamy, nie sprawdzimy, które uchwyciło w kadrze właściwą intuicję.

Tej niepewności daleko jednak do niepewności fundamentalnej, która pojawi się, kiedy zadamy kolejne pytanie: dlaczego Czytelnik rozdziela osobę (i funkcję) Autora od osoby (i funkcji) Redaktora. Zazwyczaj to dwie osoby, to prawda. Ale przecież nie ma żadnego, nawet najmniejszego argumentu, że *Posłowie* zostali napisani przez inną osobę niż *Posłowie*, które Czytelnik w tym momencie czyta. Tekst opatrzony jest jednym nazwiskiem i najważniejsze jest to, że Czytelnik dobrze o tym wie. Dostrzega wprawdzie zmianę tonacji i stylu między dwiema częściami czytanego tekstu, lecz na granicy między ósmym zdaniem *Posłów* a pierwszym zdaniem *Posłowia* nie pojawia się żadna edytorska nawet sugestia, że te słowa pisane są inną ręką niż pierwsze 8 zdań. I Czytelnik rozpoznał tę grę od pierwszego zdania *Posłowia* i wszedł w nią, uznając jej reguły, zaciekawiony,

Książka, Wizja

rozczarowany lub zirytowany, a uznając reguły gry, uznał, że jest ona grą. Zatem napięcie między Autorem a Redaktorem jest pozorne, choć brak odrębnego nazwiska Redaktora można tłumaczyć skromnością tegoż lub omyłką edytorską. Można też założyć, że Redaktor złoży swój skromny podpis kursywą na końcu tego *Posłowie*, ujawniając się i uwiarygodniając jako osoba odrębna od Autora (nie złoży).

A zatem to *Posłowie* kłamie. Nie jest słowem Redaktora różnego od Autora. Być może nie jest nawet posłowiem w tym znaczeniu, że powstało po napisaniu 8 zdań jako posłowie odautorskie. Może udający Redaktora Autor pisze je, zanim siądzie do napisania 8 zdań, w tym momencie nawet nie wiedząc, co w nich będzie, poza kilkoma nieistotnymi w gruncie rzeczy, ujawnionymi wyżej szczegółami, jak nazwa miasta czy zakładana długość zdań. Być może sytuacja Autora tak dalece różni się od sytuacji Czytelnika, że podczas gdy ten dobiega właśnie do ostatniego zdania tego tekstu (na który składają się *Posłowie* i *Posłowie*), Autor dopiero kończy notę wstępną i sam nie wie, jak będą wyglądali nienapisani jeszcze *Posłowie*, a zatem Czytelnik w tym momencie tekstu i w tym momencie lektury wyprzedza Autora, gdyż za ledwie kilkanaście wyrazów będzie posiadaczem całości, podczas gdy Autor jest jedynie dysponentem przeczucia i niewyraźnego pomysłu na część.

Kraków, sierpień 2021

Wszystkie zasoby Wolnych Lektur możesz swobodnie wykorzystywać, publikować i rozpowszechniać pod warunkiem zachowania warunków licencji i zgodnie z *Zasadami wykorzystania Wolnych Lektur*.

Ten utwór jest udostępniony na licencji *Licencja Wolnej Sztuki 1.3*.

Wszystkie materiały dodatkowe (przypisy, motywy literackie) są udostępnione na *Licencji Wolnej Sztuki 1.3*. Fundacja Nowoczesna Polska zastrzega sobie prawa do wydania krytycznego zgodnie z art. Art.99(2) Ustawy o prawach autorskich i prawach pokrewnych. Wykorzystując zasoby z Wolnych Lektur, należy pamiętać o zapisach licencji oraz zasadach, które spisaliśmy w *Zasadach wykorzystania Wolnych Lektur*. Zapoznaj się z nimi, zanim udostępnisz dalej nasze książki.

E-book można pobrać ze strony: <http://wolnelektury.pl/katalog/lektura/szostak-poslowie>

Tekst opracowany na podstawie: Wit Szostak, *Posłowie*, wyd. I, Fundacja Nowoczesna Polska 2021.

Wydawca: Fundacja Nowoczesna Polska

Publikacja zrealizowana w ramach projektu Wolne Lektury (<http://wolnelektury.pl>).

Opracowanie redakcyjne i przypisy: Aleksandra Kopec-Gryz, Aleksandra Sekuła.

ISBN 978-83-288-6303-3

Wesprzyj Wolne Lektury!

Wolne Lektury to projekt fundacji Nowoczesna Polska – organizacji pożytku publicznego działającej na rzecz wolności korzystania z dóbr kultury.

Co roku do domeny publicznej przechodzi twórczość kolejnych autorów. Dzięki Twojemu wsparciu będziemy je mogli udostępnić wszystkim bezpłatnie.

Jak możesz pomóc?

Przekaż 1% podatku na rozwój Wolnych Lektur: Fundacja Nowoczesna Polska, KRS 0000070056.

Dołącz do Towarzystwa Przyjaciół Wolnych Lektur i pomóż nam rozwijać bibliotekę.

Przekaż darowiznę na konto: szczegóły na stronie Fundacji.